

## W SZPITALU.

(Z NEKRASOWA).

---

Otóż i szpital. Świecąc, rozespany  
Wskazał nadzorca ciemny kąt u ściany,  
Gdzie kończył życie samotnej niedoli  
Autor biędny—ciężko i powoli...  
Myśmy mu wszyscy z cicha wyrzucali,  
Czemu, gdy popadł w długi, przy chorobie,  
Mając przyjaciół, nie dał znać o sobie;  
Lecz tu się schronił w tój posepnej sali?

„Cóż mi za smutek?”—zartując odrzeczę;  
I tu w szpitalu, życie dość swobodne,  
Na postrzeżeniach spokojnie czas ciecze,  
Nie jedno tutaj oka mistrzów godne.  
Spójrzcie na tego w pobliżu subiekta,  
Najwyszukańsze układa projekta;  
Pragnie je w życie puścić co najprędzej,  
Tylko mu brakło jednego—pieniędzy...  
Bo gdyby nie to, w pomysłach szczęśliwy,  
Dawnoby perły wyciskał z pokrzywy;  
Synął też łaską w mój ubogi kątek:  
Milion obiecał dać mi na początek!

„Albo ten stary aktor wysłużony,  
Co tutaj jeszcze z losem się kramarzy,..  
Niekontent z ludzi, o swych rolach marzy  
I dwuwierszami przepłata androny.  
Z resztą czupurny, gadatliwy, miły;  
Szkoda że zasnął (albo umarł może?)

Dziwactwa jego wasby ubawiły...  
 A cóż i tamto milczy coś nieboże,  
 Numer dziewiąty... Tęskny, czeka żony,  
 On ją w gorączce widzi uniesiony;  
 We śnie, na jawie ciągle we frasunkach,  
 Marzy o domu, dzieciach, pocałunkach,  
 I zamiast żony, swe szpitalne chusty,  
 W szale chciwemi pochwytuje usty!...  
 Nie budź się biédny! umrzesz w zapomnieniu,  
 Nie zamknie oczu twoich dłoń kochana,  
 Oto nas jutro stróż obchodząc z rana,  
 Tym którzy zmarli, w kolejnym sprawdzeniu,  
 Oczy przyciśnie, narzuci całuny;  
 I znów pod liczbą, a może bez trumny,  
 Rzucą nas dalej, z szpitala do dołu...  
 Nie nieście takiéj wieści jego siolu;  
 Bo żona z sercem trafi do szpitala,  
 Ale czy znajdzie, gdzie mąż, gdzie mogiła?  
 Chociażby całą stolicę zburzyła,  
 Czy pozna piasek, co mu pierś przywała?

„Zaszło tu kiedyś straszliwe zdarzenie:  
 Ze wsi przyjechał ojciec szukać syna,  
 Lecz wszędzie obcy jęk, albo milezienie...  
 Długo tak chodził w téj nieméj męczarni,  
 Aż w końcu stróż mu chłodno przypomina:  
 „Nie ma? to lepiej zajrzeć do grabarni”.  
 Zachwiał się starzec... lecz o drogę prosi,  
 Poszedł tam szukać, gdzie nie ma nadziei:  
 Chodzi od trupa do trupa z kolei;  
 Drżącemi dłońmi całuny unosi,  
 I milcząc w twarze okropne zagląda;  
 Lecz syna nie ma, a on syna żąda!  
 Nareszcie znalazł... i skarb uroniony,  
 Konwulsyjnemi pochwycił ramiony.

„Zresztą nie zawsze śmierć tu tak straszliwa,  
 Nie zawsze całun obca dłoń nakrywa;  
 Pomnę: raz w nocy oko mi się skłéja,  
 A wtém do sali, z głową rozkrwawioną,  
 Z twarzą zuchwałą, pięścią zaciśnioną,  
 Przyprawdzają starego złodzieja.  
 W walce, towarzysz wspólnego cierpienia,  
 Głowę mu strzaskał o kratę więzienia.  
 Zaciekły, straszny, nie słucha nikogo,  
 Drwi lub wymyśla, lub grozi złowrogo.  
 Patrzy na niego postugaczka nasza;  
 Podchodzi—staje; spojrzął—nie odstrasza.

Przeszło chwil kilka... oczy ich badały,  
 Jedno drugiego... I ten zatwardziały,  
 Co z raną śmierci, bez siły nadziei,  
 Przyszłego życia kresie ostatecznym,  
 Jeszcze się miota jak dziki zwierz w kniei:  
 Wybuchnął płaczem głośnym i serdecznym...  
 Świetlany obraz miłości, hart kruszy  
 I płacz ten straszny wydzięra mu z duszy.  
 W młodości z sobą znali się oboje,  
 A dziś się zeszedli... I wnet ze zbrodniarza  
 Stał się barankiem; rzucił groźby swoje,  
 Pochylił głowę pod lancet lekarza.  
 Modlitwa, obca może długie lata,  
 Łagodnie teraz w serce mu kołata.  
 Ale napróżno, nie ma dłań pomocy...  
 O! nie zapomnę tej straszliwej nocy:  
 Kiedy już konał, gdy został bez ducha,  
 Kobięta nad nim rozpościęra ręce,  
 I dobadując czy żyje, czy słucho,  
 Błaga go ciągle w rozpaczy i męce:  
 „Żyj, żyj najdroższy!..”

Co miała, sprzedała,  
 Na przyzwoite pogrzebanie ciała.  
 O, nieszczęśliwa, jakże żyła mało,  
 I jakże wiele serce jęj kochało!  
 Lecz jakież miłość przyniosła jęj kwiaty,  
 Oprócz niedoli i trwożliwej mrzonki?  
 W młodości—hańbę, a z starymi laty:  
 Rozpacz i przepaść ostatniej rozłąki!

„Jeżeli chcecie, są tu i pisarze.  
 Oto spojrzycie na tego młodzieńca,  
 Co gruby w ręku zeszytek przekręca,  
 I blady, trwożny, spogląda nam w twarze...  
 Przyszedł piechotą, zdala, bez obawy:  
 Tak miłość sztuki duch młody zapala,  
 Przyszedł z nadzieją, ale zamiast sławy,  
 Kontent, że znalazł choć ten kąt szpitala!..  
 Wszystkim on czytał swe dziecinne twory,  
 Zapomniał kaszlu, zapomniał że chory;  
 Co było śmiechu nad jego zapałem!..  
 Lecz jam się nie śmiał.. o nie!.. ja dumałem...  
 Bracia pisarze! w naszym powołaniu,  
 Nieodwołalne kryją się wyroki:  
 Jeśliby każdy, po własnym zbadaniu,  
 Wybrał byt inny, tor nie tak szeroki:  
 Prawda—świat na tém skorzystałby wiele,  
 Nie miałby nędznych pismaków, pedantów;

Ale powiedcież teraz, przyjaciele,  
Któżby mu stworzył Szekspirów i Dantów!  
I zanim jeden chwyci palmę w dłonie  
Słabszych tysiące w przepaści utonie;  
Daremna walka, daremna odwaga,  
Bo świat za tryumf ofiary wymaga..."

Tu nasz przyjaciel westchnąwszy głęboko,  
Rzucać się zaczął na szpitalnym blichu;  
A kiedy łzawe do snu przywarł oko,  
Smutni przeczuciem, wyszliśmy pocichu.

*Józef z M.*

